1844. Nra 5. ROK 3.

Redaktor Główny Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY.

ZWYCIĘSTWO

pod Grünwaldem i Tannenbergiem.

Jagiełło w zbroi na cisawym koniu, u którego na czele nie wielka była łysina, przejrzawszy z wzgórka położenie wojsk przeciwnych, objeżdża zastępy swoich, pasuje rycerzy, do dzielnej walki krótkiemi zagrzewa słowy, kapłanom i niesposobnym do boju w obóz nstąpić rozkazuje, podkanclerzego oddając ich władzy. Z wielkiej zuchwałości, raptem przejęty bliskich przeznaczeń trwogą, mistrz zakonu od łez wstrzymać się nie mógł, wkrótce jednak śmielszego nabrawszy ducha, dwóch heroldów wysyła, którzy przed oblicze Władysława

przypuszczeni, dwa gołe podając mu miecze, rzekli: „Naczelnik zakonu Ulryk, tobie i bratu twojemu te przysyła miecze, abyś bez dalszéj zwłoki. nie kryjąc się po lasach, z niemi walczył; a jeśli ci miejsca mało do rozwinięcia twych szeregów, oto ustępujemy ci nieco z naszego stanowiska, byleś upragnionego boju nie odkładał daléj„. Jakoż z posady swéj usunęli się cokolwiek, tą próżną chełpliwością, przyszłą niejako zapowiadając ucieczkę. Król wzruszony, bez żadnego przygotowania, nie potrzebując zasięgać rady będących przy swym boku, odpowie: „lubo mnie i moim nie brakuje szabel, i te co przynosicie w imie Boga przyjmuję, godłem je upatrując przyszłego zwycięstwa; pokonani bowiem tylko, składają swój oręż. Plac boju i losy nasze Wszechmocnego zostawmy woli.„

Po odejsciu nieprzyjacielskich posłanników, okrzyk powszechny starszyzny i całego wojska wymagał po królu, ażeby się usunął trochę, losów kraju całego niewystawiając na niebespieczeństwo,—wnet 60 proporców oddzielono, aby królewskiéj jego osoby strzegły. Chorągiew tego oddziału, Mikołaj Morawiec z Kunoszówki Powała piastował; celniejszemi w liczbie straży byli: Ziemowit młodszy książe Mazowiecki, — Tieduszko czyli Teodozy i Zygmunt Korybut, książęta Litewscy — Zbigniew z Oleśnicy, herbu Dąbno, potém biskup Krakowski i kardynał Jan Mężyk z Dąbrowy, herbu Wadwicz; następnie wojewoda lubelski; Jan Żoława Towacz, baron czeski, Bieniasz Wierusz z Białéj, zwierzchnik dworzan, Henryk z Rogowa, Działosza, podskarbi nadworny; Zbigniew Czujka z Nowegodworu, któremu zaszczyt noszenia dzidy królewskiéj był powierzony; Piotr Medalański, Jan Sokoł Czech, Dobiesław Kobyła, Wołczek Rokita, Bogusław kuchmistrz, Daniłło z Rusi, królewskie noszący strzały, że wielu innych nie wspomnę.

Wielki książe Litewski, żadnéj nie mając straży, z szczupłym orszakiem, często odmieniając bystre rumaki, przebiegał szeregi, zagrzewając swoich; podobnież czynił na drugim skrzydle

Hetman koronny. Dwa wystrzały harmatnie z linii krzyżaków, w naszéj powszechny odgłos trąb, bębnów i kotłów, zapowiedziały walkę. Po téj wrzawie wojennéj, chwila okropnéj ciszy. Przerwał ją hymn Bogarodzicy — stutysięcznemi spiewany usty. Rzewném sercem i łącznemi głosy, wznosząc do Boga starożytne modły, w porządnym szyku postępowano naprzód; krzyżacy zstąpili z wzgórków.

Wnet uderzyły na siebie ogromne wojowników massy — strzelały z zapałem; wiatr unosił na krzyżaków nieprzejrzane tumany kurzawy. Godzinę już z równém szczęściem walczono, wtém silniéjszy na Litwinów napad zmusza ich do cofania się, a potém od nieporządnéj ucieczki, ani ich głos ulubionego księcia mógł wstrzymać; trzy tylko pułki smoleńskie dotrzymały placu; na czele ich Witold przycisnął się do Polaków i odtąd z niemi był ciągle. Ten wypadek mógł być zgubnym, osłabiał potęgę naszych, odkrywał część znaczną linij, nieprzyjaciołom dawał obszerniejsze do uderzenia pole.

Trzeba było jeszcze, ażeby, czyli tchórzostwem czy krzyżaków przekupiony złotem, Jan Sarnowski, dowództwu swemu powierzonych Czechów i Morawców do umknienia skłonił; dostrzegłszy to z obozu podkanclerzy koronny, na czele duchowieństwa wypada, haniebny postępek gromi, i tém zniewala rycerzy, że podłego opuściwszy wodza, wracają sami do bitwy.

Jak na dopełnienie nieszczęść, chorągiew wielka koronna którą Marcin z Wrocinowic, chorąży krakowski piastował, natłokiem walczących wzruszona, na ziemię upada; zacięty opór, Sieradzanów zwłaszcza, nie dozwala jéj tryumfującym już nieprzyjaciołom zabrać, i znowu to szanowne znamie, by prawych obywateli, zasmuconych schyleniem jego, radośne ściągało oczy, do góry wznosi i wesoło niem powiewa!

Zemścić się téj obelgi chciwi, Polacy przeciwników łamią roty. Wtém wracają hufce, które Liwinów goniły, a puściwszy losowi jeńców i łup zabrany, na pomoc swoim spieszą, zwątpiałych wspierając siły; wkrótce jednak zwalczeni, nachy-

lają się do ustępu. Odwrot ich wstrzymało 16 chorągwi nowych, nieutrudzonych walką, postępujących zwolna. Radzono mistrzowi cofnąć się z niemi do zamków i tam się zawrzeć; nie chciał. „Przebóg! — mówił on, nie jeden waleczny już poległ na tym placu ze sławą, ja z niego nie zejdę haniebnie.“

Napad świeżych wojowników, już im wygraną zdawał się zapewniać, życiu nawet króla, którego dotykali skrzydłem, zagrażać. Widząc to niebezpieczenstwo, posłano do pułku dworzan, aby na odsiecz panu przybywał, ale tak był okrążony, tyle nieprzyjacioł na sobie dzwigał, że spełnić rozkazu nie był w stanie, a ustęp jego zmieszałby wszystko. Ażeby nie dać poznaki, że władca Polski tu się znajduje, chorągiew małą koronną schroniono. Mimo to jednak, z nowo-przybyłych rycerzy jeden znakomity, zbrojny cały, w złotéj przepasce, z białym krzyżaków kaftanem, na gniadym koniu, Dippold Kikeryc z Luzacyi, jak potém uznano, przypada, i prosto na króla uderza. Już go Władysław spotyka swym dzirydem, wtém Zbigniew z Oleśnicy, pisarz królewski, młodzian bez tarczy, kirysa, szyszaku, podskakuje i na pół - złamaną spisą w bok uderzywszy śmiałka, wali z konia; uderza go król w czoło, obecni wnet śmierć zadają, i błyszczącą dzielą się zbroją. Odtąd królowi Zbigniew był ulubiony, a kiedy się duchownego chwycił stanu, na wysokie wyniesiony dostojeństwa.

Zgon wyborowego ochotnika ujrzawszy ów hufiec, przy którym znajdował się mistrz W:, komandorowie i wszystko co było celniéjszego, na inne Polaków oddziały zwraca, w bok prawy, gdzie chorągwie W: koro: i inne były znaki, zmierzając. Niektórzy z naszych, wnet ich nieprzyjaciołmi uznali, inni pomyłką, która stać się mogła nader szkodliwą, za Litwinów ogłosili przybywających, snać ku pomocy, po uspokojeniu swych przeciwników. Ta wątpliwość była powodem, że niedosyć prędko na nich uderzono; ażeby swoim otworzył oczy, Dobiesław z Oleśnicy, herbu Dąbno, wypada, z tym, którego

na przodzie spotyka, sciera się, wnet spieszy ku swoim, w odwodzie ranionego mając konia.

Tu uznawszy obcych nie sprzymierzeńców, ostatnia następuje walka, najmocniéjsze z obu stron natężenia, a kiedy їych przełamać i w znacznéj części wyciąć podołali nasi, pierzchnęły natychmiast inne walczących szyki. Zastępy swoch widząc starte, poddał się Przedpełkowi Kropidłowskiemu herbu Dryja, niosący chorągiew Ś. Jerzego Kercdorf krzyżak, a wyprosiwszy ażeby raz jeszcze mógł uściskać znamie, które piastował, padł przy niém trupem. Tu równie Skarbek z Góry, Kazimierza księcia Pomorsko-Szczecińskiego; Joston z Załoza Czech, Konrada białego, księcia Oleśnickiego, pojmać byli szczęśliwi. Mszczug ze Skrzynna nadbiegł, zwiastując Jagielle zgon w. mistrza; śmierć mu zadał jego pocztowy, Jurga, w pierś i czoło utkwiwszy żeleźce głęboko; zerwawszy z jego szyi krzyż naczelników zakonu w złoto oprawny, z świętościami, kosztownemi ozdobiony klejnoty, złożył monarsze; król w milczeniu przyjął, do łez rozrzewniony tak smutném widowiskiem do Boga tylko, dawcy zwycięstw, którego wszechmocna prawica ludzkie dzierży losy, upokorzone, z przeniknionym wdzięcznością umysłem, wzniósł oczy.

Ci, których nie zgładziło żelazo, w obozie szukali schronienia, lecz i ten przez naszych zdobyty; tysiące wozów i niezmierne znaleziono w nim bogactwa oraz więzy. Wina, których wielka tam była obfitość, z woli króla wytoczono, aby niemi upojony żołnierz nie postradał wygranéj; krwią pobitych zafarbowane, płynęły strumienie, aż na łąki Tannenbergu. W gaju przyległym 7 chorągwi zatkniętych, bez ludzi znaleziono; w innem miejscu świetny oręż, zagrzęzłych w bagniskach wojowników wydał — wielu w bliskim potonęło stawie.

Uciekających mil kilka goniono, wszakże król rozkazał tych, którzy się poddadzą, udarować życiem. Pięćdziesiąt tysięcy nieprzyjaciół ubito, 40,000, i 300 komandorów, lub celniej-

szych osób zabrano, oraz 51 znaków wojskowych! Z naszych żołnierskiego Ludu wielka, celniéjszych nader mała strata. Jagiełło udał się na wzgórek, ażeby tam przejrzał wszystko; tu nadbiegł Widold, winszując mu zwycięstwa i ciesząc się, że w mocy swéj dzierżył Markwarta Salcbacha, komandora brandeburskiego i Sumberga, który w czasie zjazdu pod Kownem, jego i matkę W: X: obelżywemi śmieli krzywdzić słowami; wstawiał się za niemi Władysław, i byłby im książe przebaczył, lecz hardemi ich w niewoli na nowo zajątrzony słowy, w stanowisku koło Morunk na śmierć ich wskazał. Postąpiwszy ku Malborgowi, o ćwierć mili zatknięto obóz: król przed bitwą silnym głosem zagrzewający swoich, tak ochrypł, że ledwie mógł być słyszanym. Trąby znak dały, że tu się skupić i nazajutrz uroczyste dziękczynienia Bogu składać się mają. Król i rycerstwo w tym dniu zwycięskim, najmniejszego do ust nie wzięło pokarmu.

Gdy korzystano z zwycięstwa, i wojsko całe, lub przynajmniéj silny jaki oddział ku Malborgowi był posłany, gdzie 50 tylko było żołnierzy, pewnieby się ta silniéjsza krzyżaków poddała twierdza. Trzy dni naprożno w nowo zajętym przetrwano obozie, a Henryk de Plaven, komandor ze Swiecza, wpadłszy tam z zasiłkiem świeżych ludzi, umysły pokrzepił, środki obrony przedsięwziął, załogę ze swoich i zbiegów do 5000 pomnożył.

Odzyskane przez Bolemińskiego, obywatela z Chełmna, który w niewoli u krzyżaków będąc, znał dobrze celniejsze ich męże: W. mistrza Ulryka, marszałka Fryderyka Walrode, W. komandora Konrada Lichtenstein, Jana de Sejn toruńskiego, Jana Hrabiego de Wende mewenskiego czyli gniewkowskiego, Arnolda de Baden szlochowskiego, komandorów zwłoki, — w białe obwinąwszy prześcieradła, okrywszy purpurą, wspaniałym wozem odesłano do Malborga, innych znaczniéjszych rycerzy, tak pruskich jak naszych w Tannenbergu pochowano ciała; pospolitszej rzeszy na placu boju zagrze-

nano trupy! Rannych obu narodów opatrzono, i doglądano z troskliwością równą. Z naszych szczególniéj żałowani: Jakubowski herbu Róża, Imram Czuliski, Drzewnia. W namiocie kościelnym, który cały w zabrane na nieprzyjaciołach strojny był chorągwie, król w obliczu wojska, Mszy do N. Panny, Ducha Ś. i Ś. Trójcy, dalej żałobnych słuchał. Po skończoném nabożeństwie, ucztą swoich znakomitych wodzów i nieprzyjacielskich uraczył.

Sześciu pisarzy spisywało jeńców, a wziąwszy od nich rycerskie słowo, że na dzien Ś. Marcina w zamku krakowskim przed Janem Ligenzą z Przesławа wojewodą Łęczyckim, Jaśkiem z Oleśnicy sędzią krakowskim, Przedborzem z Przechodu podskarbim koronnym, jawić się będą, wypuszczono na wolność. Celniejszych tylko, i składających zakon, rozesłano do Łęczycy, Sieradzia, Tęczyna, Lublina, Sandomierza, Lwowa, Przemyśla i innych zamków. Kazimierza syna Swiętyborza, wziął na swą porękę Bogusław książe Pomorski, z znaczniéjszemi swej ziemi panami, obiecując go stawić na Ś Marcin, albo sam jawić się na jego miejscu; inaczéj za wiarołomcę, człowieka bez czci ma być poczytany. Inni dawszy zapewnienia okupu, pozyskali swobodę. Gońcem do Krakowa wysłany Mikołaj Morawiec herbu Powała z Konaszówki, królowéj, arcybiskupowi, panom, akademii i radzie miasta zwycięstwo opowiedział.

G.

O WPŁYWIE WIARY NA NARODY.

Indijanie, *Indostan*, *Hindu*, kraj stanowiący, zdaje się, całe pierwsze siedlisko ludzkie — ziemia żyzna — obfitująca w zbytkowne produkta, klimat miękki, zbyt gorący, wolny od zdarzeń atmosferycznych; opisy jeograficzne najstarożytniejsze ich ziemi, niczém się prawie nie różnią od dzisiejszego. — Naród w ogólności przyjął doskonale wpływ klimatu — postaci pięknéj, wyłamanéj z typu chińskiego, a zbliżonéj do plemienia kaukazkiego, z przyczyny niemięszania się kast, jednaki od wieków. — Cera Indianów, ogorzała, do oliwkowéj zbliżona, rysy jednak twarzy typu greckiego — wszędzie bowiem, gdzie tylko sztuka ich usiłowała oddać ideę piękności, widać w rzeźbie tę sklepistość czoła, brew ostrą, wydatną — oczy głęboko w oczodołach zamknięte, ale wypukłe i z-chińska sciągnięte. — Jedyny to naród, którego namiętny charakter nie wyrodził działalności ducha narodowego — zdaje się, że klimat jego miękki, wolny jednak od tych przechodów upału w płomienisty wyziew powietrza, bez wiatrów zabójczych, bez wstrząśnień żywiołów. — to wszystko, mówię, usposobiło mieszkańców do gnuśności — ale razem wyrobiło w nich serce czułe, nawet dla jéńca wojennego, imaginaciją płonącą, uległą wszystkim ideałom — To jest przyczyna, dla któréj Indijanie nie byli nigdy zdobywcami, ale przeciwnie, wiecznie ulegali możniejszym, którym rozkoszny kraj Hindostanu, aż nadto wystarczał do zaspokojenia żądzy.

Zdaję się, że Chiny i ich urządzenia wpłynęły znamienicie na Indie, których tłem charakteru jest wspólny całemu wschodowi, charakter spoczynku, spokojność. — Równie bowiem tu, jak w Chinach, sztuki i nauki zakwitły od najdawniéjszego czasu, przez ogrom wieków stały niezmienione — bez najmniéjszego postępu — równie tu, jak w Chinach, narodowość złożona z cnót narodowych, jak z przesądów, górowała nad zdobywcami, uległymi wkońcu wytrwałéj cierpliwosci pokonanego narodu — tu, jak tam, architektura przybrała charakter oryginalny — smieszno-przyjemny — żądza wypełnienia gmachów nadzwyczajnych — prace wieków dla wykucia świątyń (Pagod), przesąd narodowy nie wzbijania się nad mądrość ojców — opuszczania domów po śmierci przodków — doskonała znajomość wielu sztuk i rzemiosł, wreszcie duma narodowa z pochodzenia swego odwiecznego, oto są cechy wybitne, wspólne Indostanowi i Chinom — z drugiéj jednak strony cechuje ich imaginacya żywa, płonąca — stąd reakcya dziwna ducha, po długiem ospalstwie — umysł ich bardziej skłonny do ostateczności tego wspólnego piętna wszystkich krajów południowych — India więc nie dziw, że się zapełniła pierwéj i gwałtowniéj poezyą, aniżeli inne kraje wschodu — Ziemia ozdobiona gajami wonnemi, pełna roślin wspaniałych — olbrzymów tego królestwa tworów, co roskosznie mogły łagodzić klima nadrównikowe; ziemia strumieni rozkosznych, wonnych drzew, kwiatów, żywic, tęczowéj barwy kamieni, istna bajadera wschodu, bogata w południa bez skwaru i nocy orzeźwiających — a razem pełna gadów, dzikich zwierząt, przepaści, musiała bezwątpienia wyrodzić ducha poezyi, wiary, a więc entuzyazmu — w takie bogate źródło darów natury, ta błogosławiąca ręka Boska, darzy i darzy ciągle ziemię Indian — czemuż z nich nie zrobiła narodu najpotężniejszego na świecie? zajść bez wątpienia może to pytanie. — Tu to widzimy najdokładniéj, ile fizyczny stan człowieka ma wpływu nad duchowym. — Wszystko, co Indian uszczęśliwiało, było właśnie

powodem ich niedołężności — naród ten nigdy nie miał owéj zimnéj krwi w uleganiu zwycięzcom jak Chińczycy — przeciwnie, nieraz się burzył, rzucał się do oręża, a zawsze momentalnie, konwulsyjnie, stąd też stan jego dzisiejszy jest stanem jawnego upadku, gdy Chin jest stanem kwitnienia — India przez swoje ruchy wyczerpała już w części siły ducha narodowego — broni ją tylko i inne nadaje troskliwe pilnowanie praw i zwyczajów, a razem odległość od bogatych łupiezców Europy.

Czy, jak niektórzy sądzą, *raj*, a więc pierwsza siedziba ludzka, była w Indii, o tém, któż z pewnością powie? że jednak tam się pierwsze towarzystwa ludzi usadowiły, tego dowodzą liczne podania Indian i wielka znajomość astronomii, świadcząca o niezmiernie oddalonym początku tego kraju i jego oświaty. — Chronologia ich potworna, sięga daléj jak każdego innego kraju; cztery ich epoki: Sutty Jogue, trwająca lat 3200000— Jerkach Jogue 2400000,—Dwapàr Jogue 1600000—Kolly Jogue 1000000 —, równie świadczą o zarozumiałości ich narodowéj, jak kształt i wielkość człowieka, sięgająca w pierwszéj epoce 21 łokci, a życie 100000 lat—w drugiéj 10000 lat—w 3ciéj 1000, najlepszy sąd dają o tém imaginacyi ognistéj, przemieniającéj, w obrazy przesadzone, idealne pomysły historyczne. To jednak pewna, że postęp oświaty szybko musiał się rozwijać wśród okoliczności tak sprzyjającéj geniuszowi człowieka, dla téj-to przyczyny kwitnienie, a tém więcéj wynalazek wielu sztuk, jak to wyrób płótna najdoskonalszy, ginie prawie w cieniu czasów. Wielką bezwątpienia przeszkodą w postępie cywilizacyi Indian, były podania narodowe i sameż prawa, a szczególniéj podział narodu na 5 kast, podobnych Egiptowi, stąd następujące pielegnowanie nauk i rzemiosł przez rodziny od ojca do syna — podobny stan cywilizacyi, jak z jednéj strony zapewniał dobry los oświaty już istniejącej, i był najlepszym środkiem konwersacyjnym, tak z drugiéj stawiał opór temu olbrzymiemu wzrostowi, który tylko wolna wola zrodzić, i czu-

cie własnego geniuszu wznieść są zdolne — stąd też wszystko, co do stanu codziennego życia jest nieodzownèm, i co więcéj mechanicznie zaprząta ręce, tylko wzbiło się w doskonałość u Indian równie jak u Chinczyków, z tą różnicą, że u pierwszych, wyobraźnia żywa zawsze upiękniała, ubarwiała poezją, wynosiła do szczytu ideału proste dzieła rąk; ztąd architektura, ta poezja najpierwsza rodu ludzkiego, wydobywającego się z ciemnoty naturalnéj, u Chinczyków zaniedbana dotyla, że nawet dla Bóstw swoich odmówili wspaniałego mieszkania, u Indian zbliżyła się w pomysłach do chaldejskiéj — I niedziw — natura, ten wzór dla artysty, stokroć więcéj dawała tu przedmiotów do naśladowania, aniżeli gdzieindziej. —Indianie, postacią Europejczykom najpodobniéjsi, niestarający się tak, jak Chinczycy, aż do zbytku okrywać ciało, oswojeni więc z pięknemi formami ciała—niedziw, że mogli przejąć się a nawet doprowadzić do stopnia ideału naśladowania jego. — Jeżeli trwałość może być dowodem mocy i doskonałości, to religia Indian zasługiwać powinna na wielką uwagę; tyle tysięcy lat bytu i cywilizacyi, tyle przetrwać zmian politycznych, tyle męczęstw i podejmowanych z ręki, tak nieubłaganych, tak nieznających tolerancyi jak Tamerlan, Oremgzeb, Thamas, Zoulikan, wpływ, wreszcie Europy, że to wszystko razem nie mogło zmienić wiary Indian, jest to rzeczą prawie cudowną. — India do dziś dnia stoi z temi samemi pierwiastkami wiary i moralności, fizyonomja jéj umysłowa zawsze taż sama, kiedy tyle narodów zmieniło swój byt, lub straciło tyle potężnych prawodawstw, umarto z niemi — zostawując dziejom wspomnienia swéj wiary, obyczajów i pojęć, jako ogromny dowód téj wielkiej prawdy, że nietylko dzieła namiętności energicznéj, ale mądrego rozumu, liczącego skutki na przestrzeń tysiąca lat, upadają, jako dzieła nieudolnéj ręki lub głowy człowieka. — Tymczasem India przetrwała to wszystko, rewolucje cywilne, te burze narodów, przeszły po ich głowach, i nie zwaliły ich, jak po ich lasach Boabab przechodzą do dziś dnia bez szkody Ura-

gany — Mamyż w tym bycie niezmiennym przewidywać wieczność? — Mamyż z téj prorokowanéj wieczności domyślać się pierwiastków jego w stwórcy? w jego objawieniu? — Nie— Religia ta, jak tyle innych zniknionych i gotujących się do zniknienia, pełną jest równie zasad cnoty jak błędów, jest to zawsze toż samo dzieło człowieka, potężne i kruche, napół ze złota a na pół z gliny – dziwny tylko zbieg okoliczności: położenie kraju i klima, sprzyjające monotonii temu leśnictwu moralnemu, sąsiedztwo z równie ospałemi ludami, duch spoczynku wspólnego wszystkim ludom wschodnio-północnym, ledwo nie powiem wyłączna organizacya ich umysłów, były powodem, że Indianie do dziś dnia nie zmienili wiary, tak jak niezmienili swych zwyczajów — Nie religia to więc ich byt polityczny utrzymuje, ale jest ona cząstką tego charakteru lubiącego spoczynek, jednostajność — jest ona jedną z funkcyj ich organizmu, którego stracić nie mogą mimowolnie, w nich jest bez ich wiedzy, a która tylko zniknąć może wtedy, gdy się rozprzęgną inne ogniwa ich charakteru. — Religia nie jest w nich, jak w innych była ludach: piérwiastkiem umysłowym codzień rosnącym, którego bujanie zawsze prawie dążyło do czego każdy wzrost bujny dąży, to jest, do upadku — nie była w nich opinią rosnącą ze szkodą innych opinij, podbijającą całą władzę umysłu narodowego — nie była to owa potężna siła, która użyta w nich, wprawia wszystkie koła społeczeństwa i wywołuje z niego nowe, nieznane dotąd fenomena, i sama z niemi się przemienia, modyfikuje, idzie z ich biegiem, i wreszcie w ich fali traci z czasem charakter, jaki miała w pierwiastkowym źródle. Religia u Indian jest tam, jako jedna ze skał granitowych, otaczających wybrzeże rzeki — nigdy burzliwe fale jéj nie wykroczą za piérwsze swe granice, bo są strzeżone od mnóstwa głazów, z których religia jest tylko jednym — nie tak, jak inne, które raczéj same zamieniały się w potoki, a im więcéj miały przeszkód po drodze, im je prędzéj wywracały, tém prędzéj wpadały do swego

grobu, do morza; prawda, że nieraz zbogacały łąki sąsiednie — opinie zmieniały się, duch narodów codzień przeznie dążył do pewnéj doskonałości, ale też w samém działaniu swojém zarodek śmierci własnéj rozwijały. Wiara Bramy nie boi się tego, w niéj moralność nie jest czynna, nie uczy, jakim być jutro; dosyć, jeśli na dziś wystarcza, ogranicza, wzbrania i ochładza dusze, a jednak swoją kamienną wytrwałością stoi tyle już wieków — Chwalić-że ją czy ganić mamy? — Jeżeli obrócimy oczy na dzieje świata, jeśli popatrzymy wiele też krwi kosztowały światu najmoralniéjsze nieraz systemata, z jakim celem rodziły się te nowe, cudowne, genialne i nawet dobroczynne zmiany umysłów, i jak późniéj same przez się zdradziły nadzieje zapowiadane, i umarły obciążone błędami i słabościami; jak człowiek, co z całą szlachetnością młodzieńca dąży tylko do smutnéj chwili, kiedy w obec grobu wyzna na starość, że zpędził życie błędów, że nieraz, pragnąc tworzyć wkoło szczęście, niedole rozsiewał — oto wyznamy, że najlepszy systemat spoczynku i religia, usposabiająca do niego — tym sposobem ród ludzki może zyska odrętwiałe szczęscie snu — w miéjscu gonionych mar jego i nadziej zwodniczych. Lecz z drugiéj strony, zajrzawszy w naturę ludzką, któréj piérwszym piętnem jest dążenie do doskonałości — musimy litować się i uciekać od tego płazu na pół żyjącego, od téj religii bez wiary, bez prawdziwego Boga, bo bez dążenia do Boga. —

Jednakże, chociaż piérwiastkiem wiary Indian jest wieczna stagnacya — obrządki jéj równie jak treść moralności, zawsze będą ważnemi w oczach filozofa, jako bogate źródło do czerpania charakteru ducha ich narodowego; jeśli bowiem w których ludach, to w tych, które nie wydobyły się z dziecińśtwa, charakter religii i jéj dzieje są prawie zawsze charakterem, jeżeli nie politycznego to przynajmniéj domowego życia — W religii to bowiem maluje się pierwiastkowa filozofia narodu — jego, jakby sumienie, tém bardziéj, jeśli jéj

urodzenie było współczesne ze zjawieniem się naredu, jak w Indii. — Niemniéj obfitém żródłem będzie dziejopisa-naturalisty, dla uważania, jak duch religijny przekształca się poetycznie pod strefą równika, jak się silnie wiąże z podaniami gminnemi, jak nawet nieraz z nich-że po lat ubiegu wyrast', jak wreszcie wielkie jest podobieństwo pomiędzy wszystkiemi religiami w swém źródle; jak to podobieństwo zaciera się dopiéro po przekształceniu się jéj, po starciu się z opiniami rozumu i doświadczenia, po zbogaceniu się myślami geniuszów i wypadkami politycznemi. — Pod nie jednym z tych względów, religia Indów jest znaczącą, tém bardziéj, że jest taką, jaką przed tysiącami lat była, jest to więc otwarta kronika dziejów, i żyjąca piramida hieroglifów, którego myśl do dziś dnia się nie starła.

Edward Galli.

PRZYPISEK REDAKTORA.

Jest to wyjątek z przygotowanego dzieła, pod napisem: *O wpływie religii na narody.* Autor, znany jest z sześciu tomów prac swych już wytłoczonych. Teraz zaś przysłał tenże Doktór Galli, do Redakcyi, *Pamiętniki swych przyjaciół* we 3 tomach. przezeń napisane.

POCIECHA W NIEDOSTATKU.

(z GETEGO)

Zkąd cię boleść jakaś tłoczy,
Gdy radością wszystko brzmi?
Ty płakałeś — twoje oczy
Ból serdeczny jakiś ćmi.

„Jeślim płakał ja jedyny,
Więc mam własny smutek mój.....
Czasem sercu w złe godziny
Niesie ulgę łzawy zdrój.

Zwie cię druchów grono hoże —
W płomień objęć naszych bież!...
I co ciebie trapić może,
Trochę naszym sercom zwierz,

„Wy weseli, uie możecie
Pojąć, co mnie boli tak;
Jam nie stracił nic na świecie
Lecz mi brak — tak czegoś brak!„

Rzuć tę smutki, troski rzuć,
Nie gaś ognia młodych lat,
W twoich latach szczęście snuć,
Twym życzeniom służy świat.

„Czego pragnę, mieć nie mogę!
Bo to stoi w górze zbyt;
Tak jest lube, piękne, drogie,
Jako gwiazdki nocnéj świt!„

Gwiazdy naszych żądz nie wloką,
Nieproszone błyszczą nam,
Z zachwyceniem moje oko
Każdéj nocy błądzi tam.

W zachwyceniu błogiéj mocy
Gonie na ich światło błogie;
Lecz mi płakać w ciszy nocy,
Nie wzbraniajcie póki mogę.„

B. Olszewski.

KILKA UWAG ZAMYKAJĄCYCH

RZECZ NAD WPŁYWEM

FILOZOFII SPÓŁCZESNÉJ

NA LITERATURĘ W OGÓLNOŚCI (*).

Śmierć-że to nad życie we wszystkiém przenosić? i odrętwienież-to jeszcze w wieku odrętwienia obwoływać, roztrąbiać i aż pod niebiosa wynosić? Nie dość-żeśmy prócz tego zmarzli w poezyi, aby w nas tchnąć, wielbić, aby się po nas domagać jeszcze zlodowacenia? Cóż kiedy wielkiego wykonało serce lub pióro zmarzłe? Nie ogień-że to serca natchnął wielkich twórców i ich twory, ile razy jednych i drugich natchnął?—

Niechże inni w swoich pismach, z życia umyślnie śmierć tworzą, my ze śmierci tworzmy życie — nie wierzmy, niewierzmy, nie masz ciemności, którychby prawdziwe nie oświeciło światło; nie masz głazu, któregoby prawdziwe nie ożywiło życie. Wnieś w najgłębszą otchłań światło, a zaświecisz w otchłaniach. Jeśli mi więc ciemne stawisz otchłanie, toś nie wniósł, albo nie dosyć wniósł w nie światła. Tchnij w zimne głazy życie, duszę, a w mgnieniu oka ożyją; jeśli więc stawisz zimne głazy, toś nie tchnął, albo nie dosyć w nie tchnął życia, duszy.

Noc w słowach dowodzi nocy w głowie; inaczej być nie może. Mróz w słowach, dowodzi mrozu w duszy; inaczéj być nie może. Z głowy gorejącéj światłością i noc wychodzi światłością. Z duszy buchającéj ognia płomieniem, i mróz

(*) Patrz N. 3 Przeglądu z r. 1842 str. 86.

bucha ognia płomieniem. Tchną na nas mrozem, odetchnijmyż ogniem. W natnrze mróz z ciepłem, światło nie próżno walczy z ciemnościami. Mróz służy do oznaczenia wyższéj potęgi ognia; noc, światła — i nawzajem. I noc zatém i mróz niepróżne. Budzą uśpione ognie i światła, i natężają zbudzone. Niechże budzą, niech natężają. Dzięki im! Inaczéj możebyśmy zakrzepli, w mroku przepadli.

Przed ogniem ucieka mróz, przed światłem noc — i wzajemnie. Biadaż nam, jeśli w téj walce żywiołów, zgubniejsze żywioły przemogą; jeśli mróz z ciemnościami, ogień i światło pochłoną!

I skądże jeszcze te mrozy? ktoby wierzył? z południa, ze stolicy ognistych Słowian starego Krakusa! Z piersi niegdyś buchającéj ognia płomieniem, dziś i mrozy, i pragnienia, i pochwały mrozów (*). Lecz próżno, rzecz dziwna, zawsze na południu, mrozów i przepowiednie i pragnienia i trwogi. Próżne Buffonów rachuby, świat raczéj od ognia spłonie, niż mrozem skrzepnie.

Nie, Słowian i Litwinów ogień żywiołem. Mrozy nieba nie stężyły nigdy ich ducha—tchem duszy odpierają i Akwilonów. Ogniem duszy topią lody i Kaukazów. Niechże na tchnienie naszéj duszy, topnieją i lody Kaukazów i tchnienia Akwilonów ogniem gorają!

Ogniu! zstąp jak niegdyś z nieba i straw przygotowane z serc naszych ofiary! Was zwłaszcza, z księgą i piórem spokrewnione dusze, w waszych naukowych pracach, niech ręka opatrzności od wczesnych ochroni mrozów! W naszéj

(*) Nie stosujemy tego bynajmniéj do wszystkich w Krakowie piszących. Nikt od nas więcéj nie ceni świętych zamiarów i gorejącego pióra wielu tamecznych pisarzów. Mówimy o zamiłowanych w subtelnościach czczych, bo żadnego praktycznego pożytku przyniéść nie mogących. — *(Przyp. aut. art.)*

ognistéj piersi, niech nie powstanie na chwilę mroźna stopa śmierci! O ktoby mi dał, abym choć z waszéj piersi, choć z jednéj piersi, wygnał na zawsze, wygnał na chwilę mroźną stopę śmierci! O ktoby mi dał, abym ogień chłonący duszę tchnął w wasze piersi. O wieleż to mija czasów, jak tchnę na was całą moją piersią! Tchnienia już, pierś mi nie starczy! Wytchnąłem ledwie nie cały dech mojej piersi. A ja z całéj ziemi pragnąłbym stopić lody, ja pragnąłbym z całego świata, na wszystkie wieki stopić lody! To mię z mojego małego świata, na świat większy, świat już odtąd nieograniczony, porywa — i już porwało.

Nawykły w mniejszym okręgu skłonionych mi uszu i serc, tchnących całą piersią prawdy, z niebios wpojonéj mi wiary, wyszedłem podobny dać głos i na całą tę ziemię, i gdyby można na świat cały! Tchnąłem tu pierwszy dech mojego przekonania, mojéj drugiego rodzaju wiary, z oburzeniem jakie widok zdrętwiałych serc i umysłów w krainie religii, moralności i nauk, na każdej zdawało mi się, prawej i czuléj duszy obudza. (*)

Spodziewałem się, że są między nami tlejące, i gotowe do wybuchu iskry, łamiącéj się tylko jeszcze z przesądami oświaty; iskry, które lada tchnienie, a więc i moje tchnienie, rozniecić w płomień, i w pożar ogólny, gwałtowny, rozdąć wystarczy.

Nadzieje moje nie zupełnie były próżne. Trafiłem na dusze, co mię uczuły, pojęły. Znalazłem ich nawet więcéj, niżem się spodziewał. Głos mój w ich, a ich w mojéj odbił się piersi. Miła pociecho, lecz o czemuż niezupełna! Co mi po przyzwoleniu dawno jak ja przekonanych, co mi po oznakach zapału do nauk, dawno tym świętym gorejących płomieniem? Gdyby zdrętwiałych ocucić, zmarłych ożywić, stroniących jak choroby, mąk, albo śmierci, księgi i pióra, do nich powołać, i leniących się, ogniem życia i zapału natchnąć!

(*) Patrz Biruta r. 1837. *Geniusz wieku.*

Myśli! lub opuść mą głowę,
Lub godną siebie stwórz mowę!
Czucie! lub zamrzyj w méj duszy,
Lub głos twój świat niechaj wzruszy!
Lecz *jam* dla uśpionéj tłuszczy,
Głos wołającego na puszczy;
Lub głos, co w próżni kościoła,
Dzień po dniu na próżno woła!

Tak! na całym widnokręgu sennego świata, *jam głos wołającego na puszczy.* Znajduje się nawet, jakoż i znalazł, wpół-żywy, czy senny, któremu głos mój, tchniony w świat całą piérsią, wydał się głosem wołającego w świątyni Boga zastępów, a przeto głosem retorycznego zapału (*). Jak gdyby świątynie Boga zastępów, nie były właśnie miejscem najświętszego zapału? Jak gdyby świat cały nie był jedną Boga zastępów świątynią? Jak gdyby w téj, dla całéj natury, ręką przedwiecznego zbudowanéj świątyni, nie godziło się wydać głosu, którym brzmią ludzką zbudowane ręką Świątynie? Zamierzchłe głowy, czy skamieniałe dusze, przez litość! jakież wasze i o świątyniach, i o świętym zapale pojęcia?

Daleki zarozumienia, pyszny owszem ze świętéj powołania mojego dostojności, na którą niebu podobało się, nad moje zasługi mię wynieść, w świętéj żądzy sprawowania, gdyby można, i w tym drugim Boga przybytku, podobnie wielkiego urzędu, zostawując innym wiarę w naukowe professije, albo kasty; z wiarą, że nie masz czegoby człowiek sercem i wiarą dokonać nie mógł, wyszedłem znowu dać głos całą piersią na całą Tę ziemię, i gdyby w mojéj było mocy, na świat cały! I czyż nadaremno potargam cię moja piersi? Czyż nigdy ani jednéj nie stopię bryły lodu? *Dura cervice et circumcisis*

(*) Pamiętnik naukowy. Kraków, 1837 r. zeszyt 3ci.

cordibus et auribus, vos semper resistitis quemadmodum patres vestri, ita et vos (*). O lody! wieczyste lody! bodajbym nie stracił na was i jednego tchnienia méj piersi! O bodajbym raczej sam wiecznym ściął się lodem, niźli w was topił lody, mrozem za ogień tchnące mi lody!

Ale nic, miłe mi zawsze, bo własne, i lody; jeszcze na was zwracam tchnienie mej piersi, czyż i to będzie daremnie? Tak, tak, lody same przedemną widzę, jak na nowe tchnienie ogniem, nowemi tchnąć mi się gotują mrozy! Cóż poczną? Mamżeż zaniechać? chciałbym, — nie mogę. Niewdzięczne, dla czegoż miłe mi lody? Nie, nawet niechcę. Możnaż nowe raczéj niecić wemnie ognie? Natężam cię moja piersi, tchnę jeszcze na was lody całą natężoną piersią! Ociśnijcie mię zewsząd lodem, ozioncie mrozem; wiem, ociśniecie, zdaje mi się że już czuję, jakieście nowym zionęły mrozem! Nic to. Tchnę na was, lody! tchnąć nie przestanę. Niech na was i ostatnie tchnienie moje wyjdzie, niech choć i nadaremnie wyjdzie! Szczęśliwym, jeśli ostatnie tchnienie moje dla was, choć i na prożno, ale dla was wyjdzie.—W życiu tylko nauk, uznaję i prawdziwą naukę i prawdziwe życie. Ani innéj nauki, ani innego życia nic uznaję, uznawać nie chcę, mam je za niedołęstwo, za nic, brzydzę się niemi, gardzę.

Dosyć śmierci po śmierci, dosyć w wieczności, dosyć w całém życiu śmierci, dosyć na świecie, z ludzmi śmierci, aby jeszcze i tu, i na świecie nauk, śmierci łaknąć i pragnąć, śmierć na lody zionąć! Ze śmiercią życia, śmierć i naukom i chwale. Ze śmiercią nauk i chwały, cóż po nędzniejszém nad śmierć życiu! O! stokroć pożądańsza śmierć nad takie życie! Lepiéj umrzeć, niż zmarznąć. Jeśli już jedno ma być z dwojga, raczéj ogniem ognistych ludów płońmy, niżbyśmy z rozlazłą flegmą zmarłych ludów mieli krzep-

(*) Twardego karku i nieobrzezanych serc i uszu, wy się zawsze sprzeciwiacie, jako ojcowie wasi, tak i wy.

nąć. Ale czemużbyśmy nie byli nigdy sami sobą? Powtarzam, Słowian i Litwinów ogień żywiołem, w niczyjéj nie jest mocy w lód go przeistoczyć. Dobroczynna nasza przyrodo! stokrotne ci dzięki! wolę jednę ognia iskrę, nad niebotyczne góry lodów; jednę chwilę życia, nad wieczność snu śmierci!

Jeśli żyjesz, żyj!
Jeśli ziewasz, spij!
Lub żyj!
Lub spij!

Co twa senna pieśń?
Co ty, stęchła pleśń?
Lub grzmij!
Lub gnij!

Spać, jest-że to żyć?
Gnić, jest-że to być?
Lub żyj!
Lub mrzyj!

Albo mów mi rzecz,
Albo milcz, lub przecz!
Lub rzecz,
Lub precz!

Lubię, to mi wieszcz,
Co gdy śpiewa grzmot,
Skoro wydał głos,
Aż się jeży włos,
A kroplisty pot,
Spada ci jak deszcz.

Ludzie nieczuli, kamienni,
Czego wy chcecie od ludzi?
Kto spiewających was budzi!?
Spiących pragniecie wpół-senni.
Ah! mnie dajcie takie wieszcze,
A choćby mię włos krył mleczny,
Choćbym przestąpił próg wieczny,
Wrócę, posłucham ich jeszcze!

L. T.

DOPISEK REDAKCYI.

Jest to dokończenie artykułu, niegdyś w *Piśmiennictwie krajowém* Skimborowicza (1841 r.) drukowanego pod napisem: *Widnokrąg naukowy.* Ostatni ciąg tego utworu, przez jednego z najznamienitszych pisarzy, zawcześnie zgasłego dla literatury, był w *Przeglądzie* (z 1842 r.) *naukowym* wytłoczony. To więc umieszczenie, dla ciągu rzeczy, uważaliśmy koniecznem. Rozrywanie pism podobnéj treści, osłabia bardzo całość; przeto czytelnikom naszym radzimy zajrzéć do 1go roku Przeglądu, według przypisku na stronnicy 153 w obecnym numerze.

Kronika Piśmiennicza

POLSKA.

303. **Powieść składana I. J. Kraszewski. John of Dycalp.**

Wydanie Adama Zawadzkiego. Wilno. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. 1843. *(Na okładce położony rok 1844 i dwie podobizny* [fac simile] *podpisów J. I. Kraszewskiego i John Dycalp'a.)* W dwunastce większéj, str. 184.

Jeżeli dwóch mniéj-więcéj znanych autorów, napisze cokolwiek wspólnie, nie kładąc nazwisk pod swémi ustępami,— można-li wtedy poznać, kto pisał jedno, a kto drugie? Kiedy znowu, dwóch się składa na rzecz jednę, ażali może być pod względem estetycznym, całość dobra? Czy nareście, podobna, aby dwóch nieznanych sobie powieściarzy, dokonało zamiaru swego, tak, żeby każdy, jeden o drugim nie wiedząc, pisał, nawzajem, na-przemian, a co najbardziéj, syntetycznie? Oto są pytania, nastręczone do rozstrzygnienia przez Kraszewskiego i Johna of Dycalp.

Czytając tę składaninę, odrazuśmy mogli poznać, że przemowa, oznaczona *kochanym czytelnikiem*, rozdział 1, 3, 5 i 7, czyli wszystkie nieparzyste, są sklejania John'a spleen'owego, a 2, 4 i 6, są utworu Kraszewskiego. — Czyśmy zatém odpowiedzieli na piérwsze zagadnienie?

Co do drugiego twierdzenia, — to, rozwiązaném już zostało i przez autora przemowy (str. 12) i przez PP. *Scribe et compagnie*, którzy ciągle klecą i klecą — A że u nas nic nie

może wymknąć się takiego, coby z zagranicy przyszło i nie było naśladowaném, od mody, aż do ostatnich krańców miary oświécenia krajowego, jakiém jest literatura czyli piśmiennictwo, przeto i spółka literacka, chociaż w innym, nieco przeobrażonym sposobie, musiała jednak i u nas wejść w zastosowanie. Idzie teraz o nowość w tém przekształceniu spółek zagranicznych, czyli o rozstrzygnięcie trzeciego podania. Tu odpowiedziéć musimy, iż nam przyszła na myśl, nie zbyt czasem sczęśliwa gra w *sekretarza*, lub dorobianie wierszydeł na podane końcówki: *złoto*, *błoto*, *mody*, *szkody*, *rodzinne zagony*, *egipskie wrony*, i tym podobne. Ale przystąpmy do rzeczy.

W przedmowie powiada *of Dycalp*: „piszący przekonali się rychło, że należy im położyć całą ufność w Allahu.„ — Nie wiemy wprawdzie kto jest Pseudonymem (John of Dycałp) ale ta ucieczka do Allaha, podaje w niewiarę, angielską wiarę John'a. Wiemy wprawdzie, że Kraszewski jest *katolikiem*, bo swoje stanowisko nieraz już wykrył; ale jakiém jest wyznanie Dykalpowskie, wcale nie możemy się dowiedziéć z wezwania Allaha! Dawniéj uciekano się do muz, do bóstw mitologicznych; lecz żeby Anglicy, lub jacy-kolwiek katolicy, uciekali się do Boga Tatarów — to jest rzecz podejrzana i zupełnie u nas nowa, a praktykowana tylko w Islamiznie.

Powiadają, że w każdym żarcie jest połowa prawdy: że w najostateczniéjszéj ironii, jeszcze nie wszystko jest kolącém; że nareście każda humorystyka, oprócz dowcipu, mieści i rzeczywistość. Na mocy tych zasad, w cóż się obrócą słowa przedmowy: „Spalić! cóż w téj powieści niebezpiecznego, niemoralnego?„ Albo, według powyższych pewników, na jakiż karb liczyć się ma przytoczenie Montesquieu'ego, że „najlepsze nawet głowy niedołężnieją, gdy są razem." Ale mniéjsza o *kochanego czytelnika* (*). Idzie nam raczéj o czytelni-

---

(*) To jest o przemowę; bo tak wstęp swój ochrzcił John of Dykalp.

ków pisma waszego, przed któremi trzeba treść powieści wypisać.

Stryj przypadkowym wystrzałem, oślepia Adama. Chcąc to wynagrodzić, otacza go najtroskliwszemi staraniami, a na domiar swéj dobroci, przywozi mu narzeczoną Antosię, aby pilnowała swego kochanka i zajęła się sama przyśpieszeniem uleczenia. — Ta, z prawdziwie niewieścią czułością, wszystkie starania łoży, wszelkich poświęceń dokłada, byleby los swego przyszłego, ile można umilić (dotąd Dycalp). Śród najczulszego młodych serc skojarzenia, śród najszczęśliwiéj, bo zobopólnie chwil spędzonych, stawa na zawadzie Adamowi, Wędrychowski porucznik, sławny bałamut kobiét. Adamem zaczyna miotać zazdrość. Od niéj niedaleleko do poróżnień, a jeszcze bliżéj do wymówek. Wyrzuca więc Antosi wszystkie miłe słówka; lecz ta jednémי wyrażeniem się usprawiedliwia. Możeby te chmury sprowadziły wylew niechęci ku Antosi i grzmoty na Wędrychowskiego, gdyby nie wyjazd porucznika, i uderzenie piorunu, przy którego błyskawicy Adam nieco już przejrzał. Ale ta niepogoda, właśnie sprowadziła napowrót Wędrychowskiego (póty Kraszewski). Niepogoda jednak z natury, przeniosła się do umysłu Adama. Przymówki. —Pojedynek. (Myśli o nim najniewłaściwiéj przytoczone), — a wszystko-to Dykalpa.

Gdy Adam zupełnie już wyzdrowiał i gdy już jednego tylko dnia do wesela niedostawało, wyzwał Wędrychowski Adama na pojedynek, za dawniejsze przymówki i przycinki chorego. (to Kraszewskiego) — Wkrótce Adam odbiera list od Wędrychowskiego, który zamiast kul, radzi zjeść śniadanie i podpisać mu zrzeczenie się majątku swego, jaki był niegdyś w posiadaniu Wędrychowskich. Uważał bowiem, według swych praw honoru, za rzecz niepotrzebną, aby się Adam strzelał przed samym ślubem (Dycapowskie). Wędrychowski, pewny swego, na plac spotkania się, przybył z Rejentem i z gotowym do podpisu aktem zrzeczenia się dóbr,

które do jego miały kiedyś należeć rodziny. Adam jednak chce tę sprawę zasypać piaskiem strzeleckim, ale nie piaskiem ziemnym. Stawają. Gorszy, bo pierwszy wystrzał Adama. Zdruzgotaną jednak została ręka porucznika. Strzał Wędrychowskiego, ledwo lekko drasnął w nogę Adama. Adam się żeni z Antosią, która...... która wkrótce się rozwodzi dla tego, aby zostać żoną Wędrychowskiego. „Tegoście się nigdy niespodziewali — i jam się niespodziewał (mówi bohater słowami Kraszewskiego) całując ją w czoło pierwszy raz po ślubie — i obejmując ją wpół zarumienioną, drżącą, czując pod dłonią jak jéj serce biło. Myślałem, że serce kobiety jednemu tylko bije i na wieki; ale takich poczciwych staroświeckich serc niewiele; reszta byle bić, byleby mieć życie, byleby kochać; kochają kto z brzegu. Właśnie dla Antosi z brzegu był Wędrychowski i nikt nie winien, że go pokochała!! Wszakże miłość podobną jest do szczęścia — owszem jest samém szczęściem — jak utrzymują młodzi myśliciele — im więc jest większą, tém naglej może się zmienić." Czy to psychologiczne postrzeżenie Autora jest słuszném? Daléj, tak zlepia zakończenie Dycap. Rozstał się Adam z żoną najgrzeczniéj, najspokojniéj, i odebrał od niéj ostatnią prośbę ze łzami, że wkrótce ją odwiedzi, i z serca przebaczy wszystko Porucznikowi. Jeszcze więc raz, po przeciągu 4 miesięcy, widzi Adam swą dawną żonę, dziś Wędrychowską. Ta, razem z godnym, drugim mężem stara się oszukać Adama, wydrzeć mu kocz, konie i część majątku ziemskiego. Wszystko to pragnie uskutecznić podejściem, udaniem a nawet przymilaniem się, które z początku dobrze przyjmował Adam; ale gdy podsłuchał jéj rozmowę z drugim mężem, w któréj naradzali się nad oszukaniem Adama — rozczarował się — i wyjechał za granicę. Otoż koniec powieści *składanéj*.

Bohatérami téj powieści mają być kochankowie: Adam Antosia, Adam. — mimo całej miłości jaką miał dla Antosi, —

mógłże przed pojedynkiem ze współzawodnikiem swoim, mié' takie dziwne myśli o *papugach* i tym podobnych widziadłach, które nie tylko, iż nie sympatyzują z rozognioną wyobraźnią zakochanego, ale nawet psują całe złudzenie czytelnikowi. Ta bowiem wstawka w piątym rozdziale, to niezgrabne niezgrabnych myśli wklejenie w głowę Adama, który, jako rozkochany, swój mózg miał w sercu; obok prawdziwéj zazdrości bohatera powieści, nie charakteryzują go, jak się należy; — szpecą owszem, i z początku skreslony charakter Adama zupełnie kaleczą. Czytelnika zaś, uprzedzają o tém, że Antosia pójdzie za mąż za Wędrychowskiego.

Nie musiał się nigdy Sir Anglik (John Dycalp) kochać, kiedy nie umie wejść w położenie zakochanego. Musiał w następnym rozdziale (VI) Kraszewski dla ciągu treści napisać, że Wędrychowski żeni się z Antosią, bo tą niepotrzebną i nieskładną wstawką, John Dycalp usposobił ku temu i czytelnika, i dosztukowywującego Autora. — A taż Antosia!!! Co jéj charakter i usposobienia, to prawdziwie *składane*. Zresztą, cała powieść zle złożona, choć przez dwóch składana: przez talent istotny (Kraszewskiego) — i przez Anglika-oryginała, który uwziął się polskie pismiennictwo zarzucać arcytworami swego humorystycznego pseudo-talentu. Bo czy gdzie trzeba dowcipu, czy nie trzeba, on wszędy mięsza i najbrzydszą, najnudniejszą mixturę nieraz zrobi z najmilszego soku, któryby pozostał niezepsutym, gdyby doń nie wylał John quintessencyi płodu swego. Bądź-co-bądź, czasem się też i Johnowi udaje! — W ogóle, powieść nie jest wielkiéj wartości. Dycalpowskie rozdziały mdłe, słabe. Kraszewskiego dobre — ale jak na niego, mogłyby być lepsze.

Pisano w Lutym. C. z K.

306. Rubon, pismo zbiorowe, poświęcone pożytecznéj rozrywce.

Z Godłem:

> Meine Ufer sind arm, doch höret die leisere Welle,
> Führet der Strom sie vorbei, manches ermunternde Lied.
>
> Schiller.

Wydawca Kazimiérz Bujnicki. Tom trzeci. Wilno, drukiem Józefa Zawadzkiego 1843.

W przedmowie wyrzekł wydawca: „Z radością widzimy zwiększone współpracowników koło i t. d. Artykuł z szacownym podpisem *Edward Tarsza*, nie jest-że chlubnym dla nas tego dowodem?" — Życzymy jednak, ażeby chluba *Rubona* nie tylko od artykułów pana Tarszy zawisłą była.

Rubon dzieli się na trzy oddziały: I Rzeczy poważne — II Literatura — III Rzeczy pożyteczne.

I. Rzeczy poważne: 1. *Góra Warhan.* Mniemaliśmy, że znajdziemy w artykule tym wiadomość historyczną o górze Warhan, lecz autor, co do jéj miana, zkąd powstało, żadnego śladu *napytać* (?) nie zdołał. Podaje tylko myśl wieszczom naszym, ażeby jakim poematem o Warhanie, piśmiennictwo rodzinne zbogacili. Podpisano *Jan ze Sw...... herbu Kościesza* — Wydawca w przedmowie wyrzekł: „ukrywający się pod skromnym pseudonymem Jan ze Sw......" — a więc po cóż nam wiedzieć o herbie? 2. *Jeszcze słów kilke o dynaburgskim starym zamku* przez Adama Platera, z trzema rycinami: Widok dynaburskiego starego zamku — plan tegoż i pieczęć dynaburskich komturów. Są to uzbierane wiadomości z dzieł różnych. Ryciny ładne, wykonania Adama Platera. — 3. *Postrzeżenia i sądy* (ciąg dalszy), przez Aleksandra Horodzieńskiego. Myśli i zdania po większéj części — jak wszystkie

inne w tym rodzaju — odgrzewane i przenicowane tylko. 4 *O stopniowém doskonaleniu się rodzaju ludzkiego* przez J. P. — Autor twierdzi, że ludzie teraz nie są lepszymi i cnotliwszymi jak dawniéj byli, lecz nie popiera zdania tego dowodami przekonywającémi. — 5 *Dwa słowa o Dźwinie*, wraz z wierszem: Do Marcina Karnickiego, przesyłając mu *Dwa słowa o Dzwinie*, przez Michała hr. Borch. — Autor przechodząc od najdawniejszych podań Hezyoda, Homera, Orfeusza, Thalesa i innych, aż do nowszych czasów, nagromadził wiadomości o rzece Dzwinie i jéj nazwach, które tyle razy zmieniała. — Artykuł ten niedokończony. —

II. Literatura. — 1. *Stypa*, dwa rozdziały z powieści Edwarda Tarszy. Jako o tak małym wyjątku nic się powiedzieć nie da. — Niektóre prowincyonalizmy, wmięszane, nie dla wszystkich czytelników są zrozumiałe, jak n. p. *osełemiec* i t. p. — a usterki: *zachodząca się od płaczu* — *spytał o kolatorce*, nieprzyjemnie rażą. — 2. Poezye: *Sonet*, napisany w klasztorze kartuzijańskim w okolicy Florencyi, przez Jgn. Bhr. — *Dobra noc*, sonet, przez Ludwika Polopowicza. Jest to słabe naśladowanie sonetu *Dobra noc* przez autora Grażyny. — *Stance* przez Jgn. Chr. (Miałżeby wyraz *Stance* być niemieckim *Stanzen?*) — *Wiersz naśladowany z Goethego (Kennst du das Land)* przez Jgn. Chr. lubo, pod względem estetycznym, dalekim jest od pięknego wzoru, przytaczamy go dla rzewności jednak

Znasz-li krainę, gdzie srebrzysta zima,
Dłużéj niż lato berło czasu trzyma?
Blady nieb lazur chłodném tchnieniem dysze,
Drżące — mdłe lis ki osiny kołysze?

Ja ten kraj znam,
I po nim się smucę;
O! kiedyż tam,
O! kiedyż powrócę?

Znasz-li ten domek ubogi i mały,
Którego ściany mchem zazieleniały?
Tam-by mnie wszystko witając, mówiło: —
O blade dziécię! cóż ci się zrobiło?

Ja ten kraj znam,
I po nim się smucę;
O! kiedyż tam,
O! kiedyż powrócę?

Znasz-li te lasy, gdzie samotność głucha?
Tylko zdrój brzęczy, dziki gołąb grucha?
Niekiedy w-dali róg łowca zadzwoni,
Wiatер szumiący po drzewach pogoni?

Ja ten kraj znam,
I po nim się smucę;
O! kiedyż tam,
O! kiedyż powrócę?

Z Szyllera: Der Iüngling am Bache, przez Ign. Ciechanowskiego. Mieliśmy już kilka przekładów tegoż wiersza, jeden z lepszych jest przez A. Tyszyńskiego umieszczony w *Przeglądzie Warszawskim* Budziłłowicza i Skimborowicza, — *Popas nad morzem w okolicach Narwy, roku* 1840, *maja dnia* 2. przez Hieronima Marcinkiewicza, — *Młodzian* przez tegoż. — *Piosnki gminne* (dla czegoż nie *ludowe?*) *białoruskie*, z tekstem białoruskim. Przekład Grozy — Jgn. Chr...... i Hieronima Marcinkiewicza. — 3 *Ciąg dalszy Pamiętników X. Jordana.* Fragment 9 i 10. Opowiadanie zajmuje, ale iżby wyrzec cóś stanowczego, czekamy końca. — 4 *List siostrzenicy do wuja* (udzielono) — przez T.......a. Jest to rozprawka o znaczeniu wyrazów *piękne i ładne.* Autorka po niewieściemu, ale *ładnie* wywiązała się z tego zadania. —

III. *Rzeczy użyteczne*: 1 *Rzut na wioski i pola w Inflanciech* przez W. R. — artykuł ten nie jest bez wartości. — 2. O *Torfie*. — a) Dobywanie Torfu. — b) Użycie Torfu. — c) Węgiel torfowy. — d) Torf jako nawóz. — e) Popiół torfowy. — przez Józefa Geralda Wyżyckiego. —

Nowości,

(wyjątek z listu do Redakcyi)

Zmarły w roku zeszłym w Sieradzu Antoni Pstrokoński, były członek byłego Towarzystwa przyjaciół nauk, zostawił następne rękopisma:

1. Kodeks dyplomatyczny Księstwa Sieradzkiego, następnie ziemi, późniéj województwa; niemniéj Ziemi Rudzkiéj czyli Wieluńskiéj.
2. Obraz miasta Sieradza.
3. Wiadomości historyczno-statystyczne byłego Województwa Sieradzkiego.
4. Katalog byłych Urzędników Województwa Sieradzkiego, od dziesiątego wieku do 1793 roku,
5. Katalog ksiąg Sieradzkich.
6. Rodowody familij tutéjszych i późniéj przybyłych lub wyszłych.
7. Katalog sławnych Sieradzanów. —
8. Kalendarz Województwa Sieradzkiego. —
9. Uwagi o granicach. —

Sprostowanie. Na str. 151 zamiast *Pociecha w Niedostatku*, czytaj *w łzach.*